Gniazdo

Kolejka w ślimaczym tempie posuwała się do przodu, choć wszystkie kasy obstawione były poddenerwowanymi kasjerkami wyszukującymi kody kreskowe wprawnymi ruchami. Ludzie potrącali się półprzytomnie gnając do sobie wiadomych półek po zapomniane, acz bezwzględnie niezbędne produkty bez których święta można równie dobrze odwołać. Z głośników płynął tkliwy głos w takt niespiesznej melodii, który zapewniał, że w tym roku obdaruje swoją miłością kogoś wyjątkowego. Światełka nad głowami rozgorączkowanego tłumu mrugały dostojnie wybranymi kolorami by po chwili puścić się w dziką, wielobarwną gonitwę wyłamującą się z ram piosenki i tworzącą własny rytm. Szatynka z tyłu czekała z założonymi rękoma równocześnie wystukując palcami na rękawie taniec zniecierpliwienia. Pani Wasilewska miała wrażenie, że od dłuższej już chwili stoi w miejscu, wychyliła się więc zza potężnych barów sąsiada wielkiego jak szafa i rzuciła okiem na odległego, właśnie obsługiwanego szczęśliwca. Dwa grosze zostały wyłowione z morza pomiętych paragonów, być może wyłuskane szybciej pod gradem chmurnych spojrzeń i pochód ruszył dalej. Kobieta z tyłu w końcu znalazła oparcie dla swojego stukania w formie krawędzi taśmy i mogła dać wyraz humorowi w dosadniejszy sposób. Pani Wasilewska wreszcie zatrzasnęła podniszczoną portmonetkę, usunęła się przed nieubłaganym potokiem kartonów soku pomarańczowego szatynki, która swoje stukanie znów ograniczyła do własnego przedramienia, i prędko odeszła nie śmiąc życzyć znużonej twarzy "wesołych świąt". Przy smętnej choince zredukowanej do jednego koloru opatuliła się brązowym szalikiem, pozapinała wszystkie matowe guziki i wyszła w mroźny świat za rozsuwanymi drzwiami, który powitał ją smagnięciami wiatru i szczypaniem w nos. Także na ulicach przechodnie zaaferowani swoimi sprawunkami truchtali od drzwi do drzwi byle zdążyć, zdążyć. Tylko wtrwałe kupy brudnego śniegu sterczące w strategicznych punktach chodnika przypominały, co to za pora roku, choć mróz trzymał mocno i zapowiadano opady białego puchu pod koniec przyszłego tygodnia. "Mój Boże, za moich czasów już na początku grudnia śniegu było po kolana – westchnęła bezgłośnie pani Wasilewska – mam nadzieję, że to się szybko zmieni, szkoda byłoby zmarnować takie sanki". Kupione w tym roku na targu aż na Grunwaldzkiej, sanki rzeczywiście były piękne, z oparciem i błyszczącymi, różowymi płozami. Czekały tylko by je dosiąść i ujarzmić na nich najbardziej strome górki. Bloki rozsiane po obu stronach drogi zapowiadały początek osiedla. Wkrótce zza skrzypiących konarów łysych dębów wyłonił się jej własny, wciąż niepomalowany mimo obietnic spłódzielni. Pouchylane okna na parterze wpuszczały trochę chłodnego powietrza do królestw pary, podskakujących garnków i wrącej pracy, a wypuszczały dźwięki radosnej krzątaniny i szczęk naczyń. Klatka schodowa powitała ją echem zapachu gotowanej kapusty. Trzecie piętro już od kilku lat wywoływało zadyszkę i ból w nogach. Dziś jednak nie było czasu na przystanki na półpiętrach i kiedy zasapana rozsuwała kozaki w przedpokoju, dwie rączki dodatkowo objęły ją i mocno ścisnęły.

- Zobacz, co zrobiłam! Ciocia Agnieszka mówi, że jak przewleczemy nitkę i zrobimy pętelkę to będę mogła ją powiesić na choince! Wiem już nawet gdzie, jest takie miejsce koło bałwanka, żeby jej nie było smutno! - paplała mała wymachując babci przed oczami papierową gwiazdką wyklejoną co ciekawszymi i bardziej brokatowymi fragmentami kartek świątecznych.

- Udusisz babcię – stęknęła – no pokaż, pokaż... Bardzo ładna, no takiej pięknej gwiazdeczki to ja na choince jeszcze nie miałam nigdy!

Dziewczynka pokraśniała z dumy, a z dużego pokoju wyłoniła się Agnieszka z kuferkiem pełnym mięciutkich kłębuszków, aksamitych wstążek, pojedynczych guzików i pstrokatych kordonków.

- A gdzie to podział się mój mały elf? Leć wybrać nitkę i zaraz do ciebie przyjdę – powiedziała, wyminęła galopującą siostrzenicę i podeszła do matki – musiałam ją czymś zająć, bo Justyna dostaje szału jeśli ktokolwiek zbliży się do kuchni – przewróciła wymownie oczami.

- Przecież wiesz, że nie wolno jej denerwować – zaniepokoiła się i skierowała swoje kroki do pokoju, skąd dochodziły wściekłe dźwięki wałka walczącego z opornym ciastem.

- No nareszcie jesteś! Czy to naprawdę wszystko musi być jak zwykle kupowane na ostatnią chwilę? Już jest prawie południe! Damian oczywiście gdzieś się rozpłynął, Tomasz i Emilija pewnie jeszcze się wylegują i myślą, że przyjdą na gotowe, Agnieszka rusza się jak mucha w smole,

a Nadia tylko plącze się pod nogami i przeszkadza! Wszystko na mojej głowie, jakżeby inaczej! - wyrzuciła z siebie jednym ciągiem potok słów Justyna. Była to wysoka, trzydziestoletnia kobieta o ostrych rysach twarzy. Dawna uroda trochę przywiędła czy to pod wpływem wypalonych papierosów, czy zwykłego biegu lat. Stała teraz przy blacie zawalonym półmiskami energicznie gestykulując wałkiem. Spod narzuconego poplamionego fartucha wyraźnie odznaczał się okrągły brzuch.
- Ależ Justynko, przecież prosiłam cię żebyś sobie poleżała. Ja raz dwa wszystko przygotuję. Skoczyłam jeszcze do sklepu, bo pomyślałam, że może jednak za mało tej omasty wam będzie do pierogów, a i przyszło mi go głowy żeby Tomaszowi na drogę zrobić kokoska, on tak bardzo go lubi i mówił, że te kupne to przesłodzone, a mój taki w sam raz – mówiła uspokajającym tonem pani Wasilewska wyciągając z torby dwa kilogramy cebuli i margarynę.
- Pewnie, a potem znowu będziemy jeść po nocach, zamiast jak wszyscy o ludzkiej porze – i demonstracyjnie wywróciła oczyma – przynieś mi moją komórkę z biurka – powiedziała do Agnieszki, która właśnie weszła do kuchni.
- Mamo, dlaczego mnie nie obudziłaś? Przecież wiesz, że nie powinnaś dźwigać – zapytała ze zmarszczonym czołem puszczając mimo uszu słowa starszej siostry. Obrzuciła uważnym spojrzeniem cebule prędko znikające w wiaderku koło kosza i spróbowała popatrzeć na rodzicielkę z wyrzutem, ale ta właśnie zaczęła starannie przesiewać mąkę.
- Nie przesadzaj, a poza tym tak smacznie sobie spałaś, że nie miałam serca cię budzić. Wyobraźcie sobie jakie były kolejki! Do Supersamu nawet nie marzyłam iść, bo tam tak zawsze, a co dopiero dziś...
- Mogłaś chociaż zadzwonić, zeszłabym po ciebie – przerwała rozdrażniona Agnieszka.
- ... więc poszłam do Orzecha, a tam...
- Hop hop czy to już wszystko zjedzone czy może przetrwał jeszcze jaki niedosmażony krokiet? - zawołał wesoło z przedpokoju niski głos.
Starsza pani momentalnie odrzuciła sito i znalazła się przy wieszkach niemal równocześnie z podskakującą Nadią.
- Tomasz! - krzyknęła uradowana i pochyliła się by wygrzebać jego puszyste kapcie.
- Ale wieje! Takie małe szkraby to mogłoby porwać i na dach! - mężczyzna o orlim nosie połaskotał chichoczącą dziewczynkę, która wywinęła mu się jak kotka i przylgnęła do kolan anemicznej blondynki, właśnie przygładzającej naelektryzowane włosy. Emilija wąskimi dłońmi pogładziła dwa warkoczyki dziewczynki i z czułym uśmiechem wsadziła jej do kieszonki sukienki lizaka.
- I jak ten motel? Zmienili wam tam chociaż prześcieradło? - zapytała z niepokojem starsza kobieta. Pytanie kierowała do syna, choć stale taktownie wodziła wzrokiem od niego do synowej. Emilija została jej przedstawiona jakieś dwa lata temu podczas nerwowego obiadu. Gdy okazało się, że wybranką Tomasza została Litwinka, była w szoku. Szczególnie martwiło ją jej odmienne wyznanie, ale zachowała na tyle zdrowego rozsądku by wiedzieć, że jedno nieostrożne słowo i może stracić syna. Pani Wasilewska za swoich młodych lat była wcale niegłupia z języka rosyjskiego, ba, jeszcze do dziś lubiła przysłuchiwać się szybkiej wschodniej mowie prezenterów w programach informacyjnych gdy złowiła uchem taką podczas przeskakiwania kanałów. Liczyła, ze będzie w stanie zamienić choć kilka zdań z tą obcą, niesympatyczną kobietą, jak z miejsca oceniła ją gospodyni. Jakie było jej zdziwienie gdy rosyjska przemowa powitalna (starannie opracowana z wygrzebanym słowniczkiem) spotkała się z niedowierzaniem, a potem urażeniem wypisanym na pociągłej twarzy gościa. Krótka dyskusja przeprowadzona po niemiecku między zakochanymi i już syn tłumaczył matce, że litewski i rosyjski to całkiem odrębne języki. Od tamtej pory mur oziębłości utrzymywał się jednak w stosunkach obu pań. Babcia jak ognia wystrzegała się wypowiadania imienia Emiliji, by ta przypadkiem nie pomyślała sobie, że komentują albo mówią o niej coś złego i ograniczała się do podstawiania coraz to nowych potraw, z naciskiem na tradycyjną kuchnię polską, jakby na złość jej wciąż kościstej synowej. Z kolei Litwinka podczas nielicznych wizyt nudziła się śmiertelnie otoczona niezrozumiałym szeleszczącym językiem, ale była zbyt dobrze wychowana by opuścić towarzystwo i większość czasu siedziała sztywno za stołem wodząc wzrokiem po kątach. Tomasz litował się czasem nad nią i wyszukiwał jej

anglojęzycznego kanału by ją czymś zająć. Drażniło to panią Wasilewską dla której na przyjazd dzieci wszelkie formy rozrywki odchodziły w odstawkę, nawet kwiatom poświęcała tylko tyle uwagi by nie uschły. Telewizor rozpraszał uwagę i kradł cenny czas, i tak już bardzo ograniczony. Emiliję ożywiał tylko widok małej Nadii, którą praktycznie przy każdej okazji obdarowywała małym drobiazgiem w postaci czy to paczuszki nadziewanych rurek czy kompletu spinek z biedronką. Wyglądało jakby bariera językowa nie przeszkadzała im w doskonałym porozumiewaniu się, dziewczynka wiedziona instynktem kręciła się wokół ciotki, pokazywała jej swe rysunki, a w nagrodę dostawała to i owo. Obie ta wymiana w zupełności satysfakcjonowała. Gdy Nadia pognała z powrotem do swoich spraw wabiona rymowaną piosenką żyrafy z jej ulubionej kreskówki, Litwinka znieruchomiała w kącie przy szafie na buty, jakby czekała na swoją kolej.
Tomasz spojrzał na matkę z dobrotliwym pobłażaniem i zaczął jej tłumaczyć cierpliwie – To porządne miejsce, pokój jest schludny, obsługa miła – obejrzał się na małżonkę szukając potwierdzenia – żadnych włosów w odpływie – dodał podśmiechując się pod nosem.
- Marnowanie pieniędzy, kiedy w domu wszystko jak należy! Zaraz by się zorganizowało dla każdego miejsce. Justyna na łóżku na dole, Damian u góry – wykładała swój plan przejęta pani Wasilewska drepcząc za synem do dużego pokoju - Agnieszka odstąpiłaby wam swojego łóżka, pościeliłaby sobie na podłodze. Dla niej to żaden problem, a ty...
Agnieszka, która już trzecią noc z rzędu spędziła na swoim rozkładanym tapczanie z dziecięcych lat z małą, ale jakże wierzgającą Nadią, nachmurzyła się tylko pod nosem.
- ...z żoną byłłbyś ze swoimi! - zakończyła gorąco.
Było to dla niej potężną obrazą, że jedyny syn, przybywający do Polski tylko kilka razy w roku, wymawiając się ciasnotą i niewygodą nocował poza domem. Rzeczywiście, dwupokojowe, maleńkie mieszkanie jeszcze kilkanaście lat temu wymuszało na dzieciach stałe ugody i kompromisy, ale także zgranie. Teraz jednak gdy rodziny się powiększyły, wszyscy narzekali na tłok i z niedowierzającym śmieszkiem wspominali swoje dawne nieskrępowanie. Pani Wasilewska w skrytości serca podejrzewała, że to Emilija podżegała męża do wynajęcia pokoju na noc.
- Trochę gimnastyki i może nawet nie wyglądałabym jak olbrzym, który przysnął w chatce krasnoludków – powiedział wesoło – Zgadnij kogo spotkaliśmy przy garażach? - dodał by uciąć temat i zamaszyście przysiadł się do Agnieszki, która właśnie zgarniała wszystkie wycinki ze stołu do wytartej teki.
- Świętego Mikołaja – burknęła.
- A kto to się naburmuszył? Chcesz być okrąglutki rok taka nadąsana? Wszystkich amantów odstraszysz! Mikołajowi daj spokój, on już swoje zrobił - roześmiał się i dodał konspiracyjnym szeptem – Idziemy z Emiliją, trzymamy się jedno drugiego żeby nie pofrunąć z wiatrem, aż tu patrzymy, coś przed nami przemyka do blaszaka! Przyglądam się i przyglądam, i myślę – Damian jak nic! Wołam i a jakże, on, speszony taki jak dziecko przyłapane z ciastkiem w kącie. Poprosił żeby powiedzieć w domu, że Ziarnik nalegał, żeby mu zajrzeć do silnika, bo auto dziwnie szumi i, że zaraz wróci. Niektórzy to wiedzą jak się urządzić – westchnął z podziwem.
- Szczęściarz! Ja tu od samego rana przeżywam katusze! Ty też sprytnie to sobie obmyśliłeś – spojrzała na brata złym okiem, a ten tylko niewinnie wzruszył ramionami ze skruchą malującą się na przystojnej twarzy. Nie sposób było długo się na niego giewać i zaraz też oboje rozprawiali o aktorce, który dołączyła do obsady gorąco przez nich wyczekiwanego filmu. Kinematografia była ich wspólnym konikiem i mogli teraz w wielkim skrócie pochwalić się ciekawszymi pozycjami, które obejrzeli od ostatniego wielkanocnego spotkania. Justyna z wypiekami wygłosiła swoją krytyczną opinię na temat ostatniego głośnego hitu, którą ułożyła sobie w myślach jeszcze w pociągu w drodze do domu. Cieszyła się na te wszystkie komentarze, którymi miała zabłysnąć, ale teraz jakoś zabrakło jej słów, zacięła się i utkwiła wzrok w dłoniach, jak zwykle wyschniętych na wiór zimową porą.
- Ktoś musi zmielić ser! - rozległ się krzyk z kuchni, a jego grobowy ton sugerował z całą pewnością, że nie podejmie się tego zadania jego właścicielka.
Pani Wasilewska już od dobrej chwili niby to zamiatała igliwie z serwety spod choinki, niby to

kręciła się przy wnuczce, która z dumą jeździła palcem po koszulkach segregatora z cenną kolekcją kolorowych karteczek i błyszczących naklejek, by wskazać cioci przyglądającej się z należną uwagą okazy, przy których zdobyciu musiała wykazać się szczególnym zmysłem handlowym. Gromienie wzrokiem zdawało się absolutnie nie ruszać małej kolekcjonerki, wciąż ciumkającej w skupieniu lizaka. W gruncie rzeczy starsza pani krążyła wokół kanapy, niecierpliwie czekając na moment, kiedy syn skończy mówić o tematach ze świata, do którego nie miała wstępu. Teraz jednak jak rażona piorunem przypomniała sobie o ogromie pracy, która musi zostać wykonana, by wieczór przebiegł bez zarzutu i potruchtała do kuchni.
Justyna nie dała się wyprowadzić zza blatu i to lepiła uszka, to z satysfakcją przetrząsała szafki, by wywlec na światło dzienne zakurzone rupiecie kuchenne jeszcze po babci i udowodnić śmieszność ich ciągłej obecności. W szczytowym momencie zagoniła do zmywania Agnieszkę, ale okazało się to ponad siły maleńkiego pomieszczenia i zaraz ją wyrzucono. Jakoś niedługo potem drzwi wejściowe nieśmiało się uchyliły, ktoś wślizgnął się do środka, ostrożnie ściągnął buty, a nawet wyrównał pozostałe pary i poprawił dywanik.
- Gdzie byłeś?! - zaryczało czujne ucho.
Mętne tłumaczenia Damian ukrył pod raźną inicjatywą by rozłożyć już stół. Gdy mężczyźni debatowali nad mechanizmami powiększenia jego powierzchni, Agnieszka zamieniła kilka niezręcznych angielskich słówek z Emiliją. Jak tylko blat rozrósł się na boki nakryły go pachnącym obrusem i zaczęły znosić naczynia z niejednorodnego kompletu, dbając przy okazji żeby Nadia koniecznie niosła tylko jedną szklankę na raz. Damian zręcznie ominął podskakującą z podekscytowania córeczkę ponosząc ponad jej głową pakunki poobwijane w świąteczne reklamówki ze sklepów spożywczych. Widząc roziskrzone oczy wlepione w niego wygrzebał małą paczuszkę dla której zaklejenia życie poświęciła cała rolka taśmy. Nadia zanurkowała pod najniższymi gałęziami, przemeblowała zgrabne prezenty ukoronowane schludnymi kokardami ułożone tu przed chwilą przez Emiliję i wetknęła swój, szczelnie poobwijany, z tajemniczą wypukłością, na honorowe miejsce z samego przodu. Mała nie mogła już usiedzieć w miejscu, dlatego zatrudniono ją do wyścielania siana pod obrusem. Tymczasem uroczyście dopuszczono Emiliję do garnków. Pani Wasilewska oddała panowanie synowej, by mógł powstać przysmak lubiany w jej stronach – knysze. Starsza pani poinstruowana wcześniej, wyłożyła wszystkie potrzebne przyrządy na wierzch, trochę poobserwowała pewne ruchy Litwinki, ale w końcu odeszła, by nie posądzono jej o podglądanie rodzinnych przepisów. Nadziane trójkąty rumieniły się teraz w piecu, a zapach, który rozsiewały, musiała przyznać, nie był najgorszy. Tomasz musiał mieć bardziej stanowczy pogląd na tę sprawę, jako że przywabiony do kuchni anielskim, jak mówił, aromatem, został tam na podejrzanie długą chwilę. Jak co roku, hołubił tradycji ostrej głodówki od samego rana aż do kolacji, wspomagając się pozaplanowymi skubnięciami to tu, to tam.
- A co jeśli nie będzie widać? - zapytała z żałością rozpłaszczona na szybie twarzyczka Nadii. Wiatr pędził po niebie bure chmury jak spłoszone owieczki.
- Och, kochana, nie martw się! Choćby była zamieć, grad czy burza, ona zawsze tam jest i mrugnie do ludzi na calutkim świecie o odpowiedniej porze, trzeba być tylko cierpliwym – zapewniła ją gorąco babcia przykucając przy niej i obejmując szczupłą figurkę.
- Cały myk to żeby tego nie przegapić – dodała Agnieszka i zapatrzyła się w opustoszałą już ulicę od strony balkonów – Co to za samochód? - zapytała wskazując na kształt na parkingu, szczelnie owinięty grubą folią.
- Ten? To Lisieckich, wyjechali i tak go zabezpieczyli. Już jakiś miesiąc tak stoi. Nie uwierzysz gdzie są! - zrobiła dramatyczną pauzę – Australia! - wymówiła to słowo na wpół niedowierzająco, na wpół prześmiewczo.
- No i co w tym złego? - obruszyła się dziewczyna – Bardzo dobrze! Przecież nie muszą się jeszcze kłaść do grobu, mają prawo, żeby zrobić coś dla siebie!
Pani Wasilewska przełknęła komentarz. Nie chciała psuć atmosfery, ona swoje wiedziała. Dla niej było to tylko niezrozumiałe dziwactwo. Zamiast tego przekonała wnuczkę, która wytrzeszczała przeszklone oczy jak ryba, planując chyba w ogóle nie mrugać, że jeszcze jest czas i odciągnęła ją od drzwi balkonowych.

Tymczasem było go coraz mniej. Dzień za oknami już poszarzał, wiatr pewno pogonił wszystkie chmury z okolicy, tak, że teraz niebo było czyste. W domu zrobiło się cicho i uroczyście, pani Wasilewska ostatnia zamieniła poplamiony fartuch na elegancki, nieco przyblakły golf. Gdy doszło do porozumienia pomiędzy tradycją, a stłoczeniem przy stole i nakrycie dla gościa wylądowało na komodzie przy telefonie, gdy jasna gwiazda dała znak, gdy odczytano podniosłe słowa i zapalono krzywą świecę – to była już Wigilia. Dania jedno za drugim wynurzały się z kuchni i szybko znikały z talerzy wśród pochwał i rozmów. Pani Wasilewska uszczknęła nawet kawałek knysza, gdy przysiadła na stołku obok syna by podsunąć mu jeszcze skwierczący garnuszek z cebulką. Nie włączała się do pogaduszek i śmiechów, tylko przysłuchiwała i przyglądała wszystkim ukochanym twarzom w jednym miejscu. Ze łzami wzruszenia w oczach przyjmowała książki kucharskie, które już miała i kawę, której nie pijała. Była szczęśliwa. Chciała przedłużyć ten moment, ale zażenowane śpiewanie kolęd szybko się urwało, poodsuwano krzesła i został tylko przygasający ogarek. Prawdziwym zachwianiem szczęścia nie było nawet to, że przyłapała Justynę zaciągającą się papierosem na balkonie, gdy reszta wyszła na pasterkę.
- Podobno takie nagłe rzucenie jest złe, bo dziecko już jest przyzwyczajone. Słuchaj, dlaczego tu jest tyle donic? I tak to mieszkanie to jedna graciarnia – burknęła zła, żeby zmienić temat, całkiem niepotrzebnie, bo matka nie chciała jej robić wymówek. Latem, bujny kwietnik był wspomnieniem życia na wsi, do którego tęskniła – Na wiosnę już się przeprowadzamy – dodała przydeptując peta.
Dopiero te słowa je zmąciły. Agieszka mieszkała z rodzicami Damiana. Mili ludzie, dla swojego jedynaka kupili kawałek ziemi w swoich rodzinnych stronach. Teraz wykańczali tam dla nich dom. Z własnym poddaszem i dużym ogrodem, pani Wasilewska widziała na zdjęciach. Oczywiście była wdzięczna, że jej córka będzie mogła wychowywać dzieci w takim pięknym otoczeniu. Ona nie mogła nawet zaoferować tego mieszkanka, które trzeba będzie jeszcze chwilę spłacać. Dom z pewnością będzie urokliwy. Aż nad morzem.

*

Pięć dni później, ręczniki leżały już wyprane i poskładane w szafce, na wieszaku tkwił samotny płaszcz, a do łazienki można było wejść bez potykania się o stertę butów. Pani Wasilewska otworzyła lodówkę, by schować ser i jej wzrok padł na całą blachę kokoska. Tomasz powiedział, że nie będzie go zabierał, bo się zepsuje w drodze, ciasto więc psuło się u niej. Opowiedział też o swoich i żony planach. Miał wyjątkowo poważną minę, gdy mówił, że ani Polska, ani Litwa, ani Niemcy nie są ich ojczyzną i myślą o wyjeździe do Ameryki. Kobieta, przygarbiona pod wpływem tych myśli, otrząsnęła się i podreptała do telefonu. Sprawdziła dwukrotnie starannie rozrysowany plan zajęć najmłodszego dziecka zanim wykręciła numer. Prędka rozmowa i już wiedziała, że wszystko dobrze i że nie, nie przyjedzie na weekend bo i po co, tyle przecież przywiozła pierogów, że i na dwa tygodnie starczy. Cześć, cześć, musi kończyć, bo pędzi na spotkanie klubu. Sygnał. "Naprawdę lubi życie w wielkim mieście" pomyślała. Telewizor szumiał w tle kolejnym bzdurnym odcinkiem serialu, a zegar odstrzelał z hukiem nieskończone sekundy. Pani Wasilewska w nagłym pośpiechu chwyciła sanki pod pachę i zatrzasnęła za sobą drzwi. Za sklepem skręciła w stronę garaży, mocowała się chwilę z zasuwą i w końcu znalazła się w blaszaku. Tyle lat już tu nie była. Całe pomieszczenie zawalone było przeróżnymi szpargałami. Gdy wyszukała wolne miejsce dla sanek, nagle jej uwagę przyciągnęło zakurzone pudło. Wysunęła je ostrożnie i aż zaparło jej dech w piersiach gdy ze środka wyjmowała płótna. To pejzaż z jeziorem, a to martwa natura z cytrynami, nigdy nie dokończona... Jej obrazy, jej stara pasja. Kiedy ostatnio trzymała pędzel w ręce...? Wyszła stamtąd gnana jakimś piekącym bólem.
- Helenka! Wołałam za tobą w Wigilię, ale takżeś pędziła, że ani mnie nie zauważyłaś! Podziękuj zięciowi, bo tak naprawił auto, że mogliśmy odwiedzić córkę następnego dnia! Teraz właśnie też jedziemy, bo...- wołała Ziarnikowa spod klatki tubalnym głosem.
Ale pani Wasilewska nie miała ochoty zatrzymywać się, żeby wysłuchiwać opowieści o córce, do której w gruncie rzeczy można dojść pieszo. Minęła niemal w biegu opancerzony samochód Lisieckich dysząc ciężko i dosłownie wbiegła do klatki schodowej ścigana i przez to auto, i przez wściekły klakson zniecierpliwionego Ziarnika. Do pustego domu.